



## Hełm pilota Pirxa

Mam dziesięć lat i dziesięciu ojców. Adoptowało mnie dwóch, ośmiu doszło.

**Mam dziesięć lat i dziesięciu ojców. Adoptowało mnie dwóch, ośmiu doszło.**



## Hełm pilota Pirxa

Mam dziesięć lat i dziesięciu ojców.

Adoptowało mnie dwóch, ale z czasem dochodzili kolejni. Za każdym razem, gdy zamieszkał z nami nowy ojciec, prędko pojawiali się poważni panowie ze smutnymi głosami i grozili, że mnie zabiorą.

Wtedy ojciec Wacław, jeden z dwóch pierwszych, groził z kolei im – sądem przeciw hańbie dyskryminacji. Dobrze to pamiętam, bo mówił to już kilka razy.

Osiem też razy moi rodzice-ojcowie wygrali w sądzie, bo – jak mi to powtarza ojciec Andrzej – w Polsce zwalcza się dyskryminację kołkami z osiny. Nie bardzo rozumiem, czemu kołkami,

ale grunt, że moim tatowie są zadowoleni i nie szcędzą sobie długotrwałych objęć i całusów. Mnie też ich nie szcędzą, ale mam już dziesięć lat i szybkie nogi. Dziewczyny są może całusne, lecz moi koledzy nie i ja także nie bardzo. Jak każdy dziesięciolatek, lubię umiar w przytulaniu, a trudno o ten umiar, gdy ojców jest dziesięciu. Więc często wymykam się ich obławie i korzystam z kryjówek.

Ojciec Wacław i jego pierwszy mąż Gotfryd zabrali mnie z domu dziecka, więc ich kocham. Pozostałych chyba trochę mniej, (choć są fajni i to tylko trochę mniejsze kochanie, ale jednak) bo zajmują kąty, które z kolei ja adoptowałem wcześniej jako place zabaw. I w ogóle jest trochę ambarasu po tym, jak już odbył się dziesięcioślub.

Było w tej sprawie kilku panów, ale znów usłyszeli o dyskryminacji i odeszli z kwitkiem, rzuciwszy na mnie smutnym spojrzeniem. Sąd poparł moich rodziców, bo skoro dwóch mężczyzn ma prawo się poślubić nawzajem, to czemu nie dziesięciu? Czy dziesięć osób – grzmiał adwokat mojej rodziny – to zbiór mniejszych praw i wartości, niż zbiór osób dwóch?! Rząd w prezencie przeprosinowym wręczył ojcom „prawo dwudziestoramiennej adopcji i wychowania”. Trudne to i nie łapię, ale grunt, że w domu dobry nastrój i sporo nowych zabawek.

Ambaras jednak jest. Na przykład miesiąc temu miałem gripę. Przeszedłem ją ciężko, ale głównie przez tatów. Bo na przykład ojciec Andrzej, który pierwszy odkrył, że mam gorączkę – zemdłał. To mnie trochę przstraszyło.

Ojciec Wacław chwycił mnie na ręce – ale wypuścił, bo „kiedy tak urosłem?”. Na szczęście mam i tatę zapaśnika – ojciec Jurand podniósł mnie lekko i zaniósł do łóżka.

A raczej zanieść chciał, bo drogę zastąpił mu ojciec Marek.

- No co ty – zaprotestował. – Chcesz wychować mięczaka? Mój ojciec hartował mnie na deszczu po każdym kichnięciu i wyrosłem na twardziela. Teraz sam jestem ojcem i chcę, żeby Rupert był tak samo zahartowany.

- Przecież on ma gripę – zbaraniał ojciec Jurand.

- Ma gripę, bo nikt go nie wynosił na deszcz, kiedy kichał. Akurat pada, więc może ja...

- Nie wariuj, kiciuń! – zawołał ojciec Dariusz z kuchni, gdzie obierał ziemniaki. – Jestem farmaceutą i wiem, że głupoty opowiadasz. Mały potrzebuje polopiryny i aspiryny. I antybiotyku przeciw zapaleniu płuc, przewencyjnie.

- A w życiu! – wtrącił się tata Leszek, który zbiegł schodami. – Żadnej chemii dla mojego dziecka! Dostanie zioła i żywą wodę do picia, i martwą na skronie. I syrop homeopatyczny przeciw polio.

- Zostawcie mojego syna! – wkurzył się ojciec Wacław, co mnie pierwszy adoptował.

- O co drzemy koty? – zaciekawił się ojciec Gotfryd, wchodząc do domu objuczony siatkami, z których wymykały się ziemniaki. I mleko. – Kupiłem jajka i ziemniaki. I galaretki.

Krzyki trwały jeszcze długo, ale ja już ich nie słyszałem – obserwowałem tylko poruszające się usta ośmiu spierających się ojców przez szparę w drzwiach spiżarni. Ośmiu, bo dwóch nie było w domu. Tato Eryk jest znanym matematykiem i pojechał na sympozjum do Bonn. Bardzo

go lubię, bo mało mówi, mało przytula, za to przywozi kupę prezentów, no i ma brodę jak korsarz.

I pozwala mi się torturować w imieniu królowej Anglii.

Ojca Denisa też nie było, kiedy chorowałem. Jest celebrytą i ciągle widać go w telewizji. Nie wszyscy moi tatowie kochają go tak samo. Na przykład tata Jurand powiedział mi na ucho, że ojciec Denis powinien nazywać się nie celebrytą, lecz telepytą.

- To znaczy? – nie zrozumiałem.

- Nieważne, synku – zmieszał się ojciec Jurand. – Zrozumiesz, jak dorośniesz i zaczniesz oglądać programy o modzie. Hmm... masz tu dwudziestkę, ale zapomnij o tym, co ci powiedziałem, okej?

Nie dało się zapomnieć i właściwie odliczam dni do chwili, kiedy będę dorosły i zobaczę, na czym polega praca telepyty. Nie mniej za dwadzieścia złotych łatwo się udaje, że coś się zapomniało, więc jest git.

Skrytka w spiżarni nie chroni od hałasu, lecz robi tak coś, co mi dał tata Denis. Dlatego bardzo go kocham, mimo że tato Jurand raczej słabiej. Jako ten celebryta ojciec Denis jest rzadko w domu, natomiast na dziewiąte urodziny dał mi coś extra. Prawdziwy kosmonaucki hełm.

- To hełm, który pilot Pirx nosił w przestrzeni kosmicznej – wyjął z uśmiechem.

Hełm jest piękny, ale najlepsze jest w nim to, że zatyka mi uszy. Wtedy nie słyszę ambarasu. Niektórych tatów denerwuje, że go noszę.

- Niech go chociaż ściąga przy stole! – macha rękami ojciec Andrzej.

- Nie dręcz dziecka – upomina go ojciec Bidon. I wyciąga z regału książkę o bezstresowym wychowaniu dziecka „w domu wieloojcowym”. – Słuchaj, przeczytam ci...

Kocham tatę Andrzeja, ale tatę Bidona trochę mocniej.

Ostatecznie chorowałem trzy tygodnie. Trochę długo i znów przyszli ci smutni panowie. Ale kiedy wyszli, ojciec Wacław, mój najlepszy, bardzo go kocham, wyciągnął z kieszeni dyktafon i powiedział:

- Niedługo będziemy mieć dużo pieniędzy, Rupercie.

Myślę, że chorowałem tak długo, bo moi rodzice się nie dogadali. Na przykład o północy do mojej sypialni wszedł ojciec Leszek i napił mnie dzbankiem ziół. Potem wyciągnął słoik, w którym poruszało się coś czarnego.

- To stara metoda, ale ciągle rekomendowana – powiedział.

Po tym, jak pogryzły mnie pijawki, miałem kłopot z zaśnięciem. Kiedy mi się w końcu to udało, obudził mnie tato Dariusz, który zakradł się z latarką. Cmoknął mnie, dał bolesny zastrzyk i siedem dużych tabletek, znowu mnie cmoknął i powiedział:

- Jutro rano będziesz zdrowy, Rupercie.

I może byłbym faktycznie – gdybym nie obudził się o świcie na materacu zmoczonym deszczem, pod gankiem. Ojciec Jurand znacząco masował bicepsy, a ojciec Marek, pod parasolem, tańczył nade mną, wesoło śpiewając:

*Mój synku, mój ty syneczku,  
Jedyny mój Spartaneczku!...*

Ambaras jest. Mam jednak kryjówki, no i hełm mam.

Tydzień temu przyniosłem jedynekę ze szkoły. Pierwszą z matematyki. Był to cios dla większości tatów, ale największy dla taty Eryka, który jest profesorem.

- Taki wstyd... Taki wstyd... - powtarzał, kręcąc głową.

- Jak to się mogło stać? – Ojciec Dariusz stał bezradnie z opuszczonymi rękami, a z żółtych rękawic do mycia naczyń ściekała piana.

- Kto nawalił? – grzmiał surowo mój najlepszy tata Wacław, który nigdy na mnie nie krzyczy.

- No właśnie – podchwycił tata Jurand, znacząco prężąc bicepsy. – Kto ma lekcje Ruperta w grafiku na ten tydzień?

- No i jasne! – Ojciec Andrzej wbił nos w grafik uwieszony na lodówce. – Celebryta Denis!

- No ba! – rozłożył ręce tato Jurand. – Bo przecież musi wyprężyć to i owo, żeby... - zamilkł, bo trzech ojców zgromiło go wzrokiem. – No, miał dużo pracy – zwrócił się do mnie z jakimś zabawnym, mrówkojadowym rykiem.

- Trzeba to szybko naprawić – stwierdził ojciec Gotfryd. – To hańba dla nas, rodziców. Pewnie przyjdą z opieki.

- I bardzo dobrze! – ożywił się ojciec Wacław. – Potrzebujemy pieniędzy; czy ktoś z was widział rachunek za wodę?

- Ale hańba jest – wymruczał tata Eryk, mierzwiąc profesorską brodę. – Przynieś no tu podręcznik do algebry, synku.

Uczyniłem krok w stronę drzwi, lecz powstrzymał mnie ostrzegawczy ton taty Bidona, bardzo kochanego:

- Mowy nie ma. Niech mój syn podąża intuicyjnym szlakiem wyborów. Skoro nie chce uczyć się matematyki, to znaczy, że jego podświadomość komunikuje mu: „Nie będziesz jej potrzebować w przyszłości”. Nie dręczmy go.

- Ale matematyka to podstawa – wykrztusił tata profesor.

- Chwileczkę – uniósł dłoń ojciec Bidon i wyszedł z kuchni.

Kiedy wrócił z podręcznikiem o bezstresowym wychowaniu, ja już miałem hełm na głowie. Dlaczego tatusiowie różniący się tak bardzo stosunkiem do matematyki (i innych rzeczy) w ogóle się ze sobą ożenili? Zapytałem o to ojca Wacława.

- Matematyka jest silna, lecz chemia silniejsza – odrzekł zagadkowo.

A hełm to najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem.

Wczoraj też mi się przydał.

Akurat siedziałem przy zupie przypalonej przez ojca Leszka (miał gotowanie w grafiku), trzymając hełm na kolanach, kiedy do kuchni wszedł ojciec Jurand, bardzo zdenerwowany. A że zwołał wszystkich pozostałych ojców, brakowało tylko taty Gotfryda, który pojechał nie wiadomo, gdzie.

Tata Jurand podchodził kolejno do każdego taty po kolei i mówił im coś na ucho. Coś niemiłego, to od razu było widać.

Tata Waclaw bez słowa podszedł do mnie i bez słowa przytulił.

Tata Andrzej zemdłał, ale ponieważ zrobił to drugi raz – już się nie wystraszyłem.

Tata Jurand nerwowo prężył bicepsy.

Tata Marek włożył głowę pod kran i polewał się zimną wodą. Może kichnął wcześniej?

Tata Dariusz bardzo drżącymi rękami włożył sobie do ust dziesięć wielkich tabletek.

Tata Eryk szarpał się za brodę i cicho powtarzał:

- Taka hańba, co ja powiem kolegom na sympozjum...

Tata Denis złożył ręce jak do modlitwy, tata Leszek zaszlochał, a tata Bidon nerwowo szukał ratunku w podręczniku psychologii dziecięcej.

W końcu ojciec Jurand spytał chrapliwie:

- Kto mu powie?

Wszystkie twarze, smutne lub zagniewane, zwróciły się na mnie.

- Ja – chrząknął tata Waclaw. – Byłem mu pierwszy ojcem, znaczy pierwszy z Gotfrydem... -

Popatrzył mi w oczy. – Synku. Twój tatuś zrobił coś strasznego.

- Znaczy ty?

- No nie, nie ja-tatuś.

- Nie ten tatuś – pospieszył z pomocą ojciec Leszek, ocierając łzy.

- Synku – powtórzył z powagą ojciec Waclaw, silnie trzymając mnie za ramiona. – Tatuś Gotfryd cię porzucił. Porzucił nas wszystkich.

Zapadła ponura cisza.

- I co? – zapytałem.

- Noo... Jesteś teraz troszkę sierotą.

- Ale zajmujemy się tobą! – zawołał tata Denis.

- Rozmawiaj z nami o tym – zawtórował tata Bidon.

Zerknąłem na hełm.

- Ale co się stało? – chciałem jeszcze wiedzieć.

- Tatuś Gotfryd znalazł sobie kogoś – ponuro wyjawiał ojciec Jurand. – Zdradził nas wszystkich.

- Nowego tatusia? – próbowałem zrozumieć. – Znaczy nowego dla mnie? Jedenastego?

- Nie. Tylko dla siebie. I nie tatusia.

- ...?

- KOBIETĘ.

Żał mi było tatusiów, jeszcze ich nie widziałem tak przejętych. Ale jeszcze bardziej chciało mi się przed tym przejmowaniem uciec do spiżarni.

- Co ja powiem kolegom? – kiwał się tato Eryk.

- Hańba!! – krzyczeli tatowie Jurand i Dariusz.

- A ja go dotykałem – mamrotał wstrząśnięty ojciec Marek.

- Niech to cholera – złapał się za głowę ojciec Waław. – Utną nam zasilek dla dziesięciordzica!...
  - O Jezu, Jezu, Jezu – biadolił tata Leszek. Nagle spojrzał na tatę Dariusza. – Daj tabletkę. Pewnie już mu się skończyły zioła i pijawki.
  - Utną zasilek – powtórzył grobowym tonem ojciec Waław.
  - Niekoniecznie – rozległ się nieśmiały głos.
- Wszyscy spojrzeliśmy na tatę Denisa. Zawsze podobały mi się jego stroje. Teraz też. Jedna nogawka wąska, błyszcząca, złota – druga... Drugiej wcale nie było. Widać było kawałek kąpielówek w żabki.
- Co masz na myśli? – zmarszczył brwi tato Jurand.
  - No... Mam dziesiątego.
  - Masz... Ale skąd??
  - No... Tak... W rezerwie go miałem. – Tatuś Denis chrząknął i wbił zmieszany wzrok w czubki swoich zakrzywionych po arabsku trzewików. – W odwodzie.

Mam dziesięć lat i dziesięciu ojców.  
I mam też hełm pilota Pirxa.